



Mimo że

Z Krystyną Jandą i Magdą Umer

rozmawia **Maria Bojarska**

Zdjęcia: Lidia POPIEL



Nie będę udawać, że nie mam tremy: spotykam się niby to z Magdą i Krysią, żeby porozmawiać o łączącej je przyjaźni, istna sielanka, ale wy dwie jesteście przecież przede wszystkim Jandą i Umer! A to znaczy, że mam przed sobą dwie artystki, dwie legendy, dwie sławy, dwie gwiazdy, dwa monstres sacrés, dwie ulubienice i ozdoby mediów! I właśnie tuż przed naszym spotkaniem przeczytałam gdzieś odpowiedź Magdy na pytanie, co jest jej zdaniem najważniejsze w życiu. Odpowiedziałaś: przyjaźń. Nie miłość?!

Magda Umer: – Nie. Miłość nie jest trudna: znamy miłość do dzieci, do kraju, do przyrody, do męża... Ale nawet w tej ostatniej sto razy ważniejsza niż uniesienia zmysłów czy coś w tym rodzaju jest przyjaźń. Zwłaszcza kiedy się kończy 40 lat, nie oszukujmy się, to nie ulega wątpliwości!

Krystyna Janda: – Rzeczywiście, wśród naszych znajomych jest tylko kilka takich małżeństw, w których żona do męża i mąż do żony zawsze mogą zadzwonić... Czyli że nie tylko są małżeństwem, ale jest też między nimi przyjaźń. Zazwyczaj większość mówi: nie, nie, ja nie mogę teraz zadzwonić, bo on (czy ona) śpi. Jakie to jest nieprawdopodobne szczęście: mieć kogoś takiego, do kogo można zawsze zadzwonić i zawsze, czy jest druga w nocy, czy czwarta rano, coś powiedzieć! Magda ma rację, przyjaźń jest najważniejsza.

Ale czy jest możliwa? Parafrazując Agnieszkę Osiecką: „jeżeli przyjaźń jest możliwa”... Czy przyjaźń w ogóle jest?

M.U.: – Mamy to szczęście obydwie, Krysia i ja. W naszych małżeństwach jest przyjaźń. Poza tym ja się przyjaźnię z własnymi dziećmi. Nie mówię o waszych małżeństwach i tylko, tylko o was, dwóch kobietach. Bo poza tym, co wyliczyłam na początku, jesteście również (przede wszystkim?) dwiema kobietami. I skoro już mowa o Agnieszce Osieckiej, pojawia się wątpliwość: media bardzo mocno nagłośniły waszą z nią przyjaźń...

M.U.: – Media zawsze wiedzą o wszystkim lepiej od nas. Być może; w każdym razie często słyszało się o „ściślejszej egzekutywie” kobiet zaprzyjaźnionych z Osiecką.

M.U.: – Nie, to polegało na czymś innym: to były bardzo miłe

Jakie to szczęście mieć kogoś, do kogo można zawsze zadzwonić

spotkania czterech czy pięciu w miarę inteligentnych kobiet, które w ciekawy sposób opowiadały o ciekawych rzeczach. I dobrze im było ze sobą, zapominały o istnieniu czasu.

K.J.: – Ale nie mówiłyśmy tam żadnych intymności.

M.U.: – Nie, nigdy w życiu, to była raczej przyjaźń typu męskiego, żadne „babskie gadanie”. Poza tymi spotkaniami jednak nasze związki z Agnieszką były całkowicie różne!

K.J.: – Ona się mnie jakby wstydziała...

M.U.: – Agnieszka była urzeczona Krysią i jej aktorstwem, wszystko w niej ją zachwycało: uroda, temperament, wszystko! Ale w sposobie życia Agnieszki były rzeczy, które mogły szokować – i nie chciała, żeby Krysia je widziała... O mnie natomiast mówiła, że przypominam jej ciocię Basię, prawdziwą ciocię, która zawsze nad wyraz krytycznie oceniała to, co Agnieszka robi, choć jednocześnie bardzo ją kochała. Łączyło nas coś nieokreślonego, ona sama nazywała to „tajemniczym sznurkiem 9 października” – bo obydwie urodziłyśmy się tego samego dnia i tego samego miesiąca, tylko ja trzynaste lat później. I oczywiście, wielu rzeczy w Agnieszce nie akceptując, kochałam ją i byłam z nią połączona niemal tak, jakbyśmy były tym samym człowiekiem! Bardzo silna empatia, nie umiem tego inaczej nazwać.

Tak czy inaczej cień Agnieszki Osieckiej będzie nam dziś towarzyszył. Bo niedowiarki, jak łatwo przewidzieć, raczej sceptycznie przyjmują moją dobrą nowinę o waszej przyjaźni: wiadomo, że Krysia Janda z Magdą Umer zrobiły razem „Białą bluzkę” Osieckiej, i tyle. Przyjaźń? Wspólny interes zawodowy!

K.J.: – Nie da się ukryć, że jestem przede wszystkim aktorką... A „Biała bluzka” bardzo nas zbliżyła! I „Kobieta zawiedziona” Simone de Beauvoir też! I „Abelard i Heloiza” na samym początku – i wiele innych rzeczy!

M.U.: – Nasza przyjaźń na pewno wzięła się z wspólnej pracy i na

▷ pewno wszystko, co tu powiemy, będzie miało związek tyleż z przyjaźnią, co z pracą!

Ale czy przyjaźń w ogóle jest?! Kalina Jędrusik dostała kiedyś od pewnej nastolatki list z rozkosznie naiwną prośbą: proszę ode mnie pozdrowić inne aktorki! Ta arkadyjska, utopijna wizja świata, w którym wszystkie aktorki znają się i wzajemnie bardzo lubią...

M.U.: – Zabawne, właśnie Kalina Jędrusik, która mi matkowała i była nawet moją chrestną mamą, stała się potem zazdrosna o moją przyjaźń z Agnieszką. I powiedziała: „Ty masz teraz swoje pięć minut z tą Osiecką, tak? Każda z nas przez to przechodzi, ale to mija!” Okrutne, bardzo jednak prawdziwe zdanie. Ja miałam może szczęście, że tych minut z Agnieszką było nie pięć, tylko, powiedzmy, osiemnaście... Ale Agnieszka rzeczywiście wybierała sobie ludzi, z którymi będzie, ciągle się z kimś przyjaźniła, kogoś rzucała, przyjaźniła się z następnym!

A wasza przyjaźń z Krysią trwa?

K.J.: – Tak, chociaż jesteśmy całkowicie różne. A może właśnie dlatego, że jesteśmy całkowicie różne?

Przyciąganie się przeciwnieństw? Kto się lubi, ten się czubi – i tak dalej. Czy tak?

M.U.: – Ja wielu ludzi bardzo lubię (i sporej liczby nie lubię!), ale to co innego. Różnica między lubieniem a przyjaźnią polega moim zdaniem na tym, że kogoś lubię albo nie lubię „za coś” – a przyjaźnię się z kimś „mimo że”. I to „mimo że” jest najważniejsze! Ja bym Krysię po prostu tysiąc razy zamordowała i ona mnie też! Ale ona wie, że zawsze może na mnie liczyć, ja wiem, że zawsze mogę liczyć na nią.

Mimo że – co? I od kiedy? Jako Janda i Umer musicie się oczywiście w jakimś sensie „znać” od zawsze, ale „znać” wcale jeszcze nie znaczy „lubić”, a nawet „akceptować”...

M.U.: – Jestem starsza – więc kiedy zaczęłam już śpiewać piosenki,

to Krysia jeszcze do szkoły chodziła. Ja natomiast po raz pierwszy zobaczyłam ją w „Portrecie Doriana Graya” i potwornie mnie denerwowała: krzyczała i fałszowała tak, jak nikt dotąd przy mnie nie fałszował! **A słuch masz czuły, wiem.**

M.U.: – Słyszę każdy nieczysty dźwięk (także swój!) – i cierpię. Ale od Krysi nie byłam w stanie oderwać oczu. Nie wiem, kto tam grał poza nią, nie wiem, o czym to było, pamiętam tylko Krysię. A potem ta „Guma do żucia” w Opolu!

K.J.: – Co to zaśpiewałam o kwartę za wysoko...

Żeby tylko o kwartę! Ale przed „Gumą do żucia” był jeszcze „Człowiek z marmuru”...

M.U.: – Gdzie znów mnie doprowadziła do szewskiej pasji! Ale była tam taka scena z ojcem kolejarzem, po której powiedziałam sobie: to jakaś okropna osoba, nerwowa, histeryczna, po prostu okropna, ale na pewno będzie wielką aktorką. I trochę później zobaczyłam ją w Opolu. Znów to samo: coś wrzeszczy, wszystko nieczysto... Ale do dzisiaj

Jest wielką artystką i ani przez chwilę nie jest próżną osobą

pamiętam jej występ. I sukienkę, i dekolt na plecach, i jak jej ręce drżały... Już było wiadomo, że się narodziła jakaś nieprawdopodobna osobowość!

Pamiętacie może ten moment, w którym Janda z Umer poznały się osobiście?

M.U.: – Nie, zupełnie nie.

K.J.: – A ja tak: to był sylwester 76/77 u Jurka Zelnika, lata temu! Przyszła chyba w farmerkach. I chyba byłas w ciąży. Ale nie miałam odwagi z tobą rozmawiać, bo jakoś dziwnie się zachowywałaś, nie chciałaś kontaktu z ludźmi...

M.U.: – Nie było mi lekko.

K.J.: – Magda wyglądała jak ktoś, kto przyniósł ze sobą jakiś straszny problem. Pamiętam, stała

przy piecu, opierała się o piec, a dookoła niej, jak ciemna chmura, ciągle był jakiś problem. Ja od tego instynktownie uciekałam!

M.U.: – Pamiętam tylko, że mogłam wtedy albo popełnić samobójstwo, albo pójść na tego sylwestra – i wybrałam to drugie.

Lata później obydwie śpiewałyście dwie uwielbiane przeze mnie piosenki Osieckiej – Magda „Oczy tej małej”, a Krysia „Na zakręcie”. Utożsamianie piosenkarki z piosenką, aktorki z rolą może się wydać skrajnym przejawem głupoty, ale... Czy w tym beznadziejnie smutnym „na zakręcie” jest coś z prawdziwej Krysi? A w Magdzie naprawdę jest naiwność i czystość „białych zeszytów”?

K.J.: – Naprawdę. Powiem ci, że Magda z nikim i nigdzie nie czuje się tak dobrze, jak ze swoimi dziećmi! Więcej, ona w ogóle rozmawia z dziećmi tak, jakby zakładała, że są inteligentniejsze od niej – i to nie jest udawane! Ona uważa, że dziecko może jej powiedzieć coś mądrzejszego, niż sama byłaby w stanie wymyślić!

M.U.: – I często mówi. Bo dziecko mówi to, co jest absolutnie pierwsze.

Ale z kolei życie Krysi ani przez chwilę nie kolebie się „jak balia”... To „na zakręcie” pasuje chyba raczej do Magdy?

K.J.: – Wiesz, na czym to polega? Ja „na zakręcie” byłam tak intensywnie, jak nikt – ale tylko przez jeden dzień.

M.U.: – Marysiu, ona w jeden dzień przeżywa to, co ty i ja całymi miesiącami, a intensywność tego przeżycia jest piorunująca!

K.J.: – Szybciej z tego wychodzę. Ja w ogóle uważam, że przeżyłam życie trzy razy szybciej niż normalny, przeciętny człowiek: miałam i rozwody, i dzieci, i siedem mieszkań, i znowu nowe dzieci, i dom, i tyle już zagrałam, i takie role, i takie, i już jestem babcią... Czasem sobie myślę, że dojrzałam do emerytury – no, ale potem na szczęście zaczyna się nowe życie, tak to już jest!

Nie wolno zapominać, że wspominamy tu odległą przeszłość, początki waszej znajomości, kiedy daleko jeszcze było do przyjaźni! Ciekawa jestem, czy Krysia z równie sprzecznymi uczuciami odbierała kiedyś twórczość Magdy?

K.J.: – Ze mną było tak, że na samym początku słuchałam oczywiście piosenek Magdy i uważałam, że ona śpiewa bardzo prawdziwie, ale potem oglądałam jej programy w TV, takie z udziałem zapraszanych przez nią gości... I zawsze się dziwiłam: kogo ona zaprasza?! A potem się okazało, że są to dokładnie ci ludzie, z którymi ja też chciałabym się spotkać! Tylko że ona tak jakoś dziwnie, tak strasznie powoli do nich mówiła... Za każdym razem to mnie bawiło!

M.U.: – Bo mój czas to czas Hindusa, a jej czas jest czasem nowojorczyka, rozumiesz. I ona nie mogła wytrzymać mojej powolności, a dla mnie była zawsze za szybka! Jestem natomiast przekonana, że właśnie dlatego tak się przyciągamy: my razem to jest średni czas środkowoeuropejski. Tak, jak powinno być. Ja trochę przyspieszam, ona troszeczkę zwalnia – i wtedy jesteśmy na tym samym torze. Bo właściwie to tylko kwestia temperamentów, a wrażliwość, sposób patrzenia na świat – to jest niezwykle bliskie i to nas łączy. Bardzo szybko się o tym przekonaliśmy!

Ale jak do tego doszło?

K.J.: – Pewnego dnia Magda do mnie zadzwoniła i powiedziała, że chce robić „Abelarda i Heloizę” w TV ze mną i z Zygmuntem Hübnerem. Wszystko, co było potem – i „Biała bluzka”, i „Kobieta zawiedziona” – stało się konsekwencją tej pierwszej wspólnej pracy.

M.U.: – A zadzwoniłam do Krysi, bo byłam w Teatrze Prezentacje, gdzie grała Heloizę, i zobaczyłam przedstawienie, w którym tekst Duncana – jeden z najwspanialszych, uwielbianych przez mnie tekstów – został po prostu zmarnowany! Zareagowałam jak magister filologii: przymierzłam się do wła-

snej adaptacji i poprosiłam Hübnera, żeby to reżyserował. Żeby grał i reżyserował. Ale Hübner powiedział: pani ma to tak przemyślane, że sama powinna reżyserować, a ja się skupię na roli, bo jestem szczęśliwy, że pani mi to zaproponowała... Tak powiedział i nigdy tego nie zapomnę, bo to dało mi wtedy strasznie dużo siły!

Więc Krysia miała być w pewnym sensie królikiem doświadczalnym?

M.U.: – Ja uważam raczej, że to właśnie Krysia zrobiła ze mnie reżysera. Krysia i Hübner. I jeszcze Piotrek Skrzynecki, który kiedyś miał reżyserować Opole, ale nie przyjechał, bo za długo obchodził imieniny Janka Nowickiego... Katastrofa! I to właśnie ja (bo byłam autorką scenariusza) musiałam się w ciągu 24 godzin zmobilizować i podjąć decyzję, kto wchodzi przez które drzwi, którą stronę wychodzi, gdzie stoi... A nigdy do głowy by mi nie przyszło, że tego typu zajęcie może mnie w ogóle interesować! Dla mnie w teatrze ważny był aktor: ktoś, kto robi wszystko, tak uważałam, żeby człowiek był lepszy, mądrzejszy, wrażliwszy. Ktoś, kto mnie wprowadza w świat czynienia dobra, święta postać!

K.J.: – A teraz się czasy zmieniły i jest dokładnie odwrotnie! Teraz często sztuka wprowadza w świat czynienia zła, niestety. Na tym w ogóle polega ten czas, przynajmniej u nas. Ale właśnie w związku z tym chcę powiedzieć, skąd się (między innymi) wzięło to, że ja mam do Magdy absolutne zaufanie. Mało jest teraz takich ludzi, którzy by nie byli oszłomami tych czasów, tej bezmyślnej pogoni za sukcesem, efektem, pieniędzmi! Magdy to zupełnie nie obchodzi – dla niej ważne jest dobro. Logika i prawda, czyli dobro. Odkryłam to już na pierwszej próbie! Więcej: odkryłam, że mam do czynienia z kimś, kto bardzo dużo wie, ale nie mówi, że wie na pewno, potrafi radzić się innych, nie wstydzi się tego! A na mnie to podziało jak łyk źródlanej wody – bo do tej pory miałam do czynienia z reżyserami,



k którzy zawsze wszystko wiedzieli! Nie przyjaźniłam się jeszcze wtedy z Magdą, ale rozumiałam, że mam przy sobie kogoś, komu mogę zaufać. I odtąd, jeśli miałam jakiś problem do rozwiązania, to dzwoniłam do Wajdy, Bardinięgo i do Magdy Umer.

M.U.: – A dla mnie takim ożywczym łykiem wody był moment, w którym Krysia, z początku rozdzrgana, nagle zatrzymała się na jakimś zdaniu, które powiedziałam, mogła się na nim zatrzymać i coś jako aktorka zbudować... To był bardzo dla mnie ważny moment! Fantastycznie mi się z nią odtąd nie tylko pracowało, ale i przebywało. Rozumiesz, luksus pracy: ona ma do mnie zaufanie, a ja wiem na pewno, że chcę zrobić tak, żeby ona wypadła jak najlepiej. Po to jestem. Ale przed tym, żeby ona wypadła jak najlepiej, jest jeszcze to, żeby sprawa wypadła jak najlepiej. A o to jej również chodzi, ponieważ nie jest próżną osobą: Krysia jest na tyle wielką artystką, że ani przez chwilę nie jest próżną osobą!

Żałuję, że nie widziałam tego przedstawienia.

K.J.: – Zygmunt Hübner też nie widział, pociesz się. Nie zdążył obejrzeć. To było jedno z pierwszych przedstawień TV po bojkocie – i poszło na parę lat na półki, ponieważ tłumacz miał pryncypia i nie zgadzał się na szarganie swojego nazwiska w „czerwonej telewizji”! Bo to było jeszcze przed zmianą ustroju. **O telewizji i jej grzechach można w nieskończoność, ja jestem jej**

▶ **jednak wdzięczna za świetny dokumentalny film o Magdzie, w którym opowiadała kiedyś między innymi o swoim komunistycznym i ateistycznym wychowaniu. Krysia natomiast wyrosła w typowej polskiej rodzinie – tradycyjnej i katolickiej, prawda? Czy dla waszej przyjaźni kwestia takiego a nie innego wychowania lub światopoglądu miała jakieś znaczenie?**

M.U.: – O tym, jak pochodząc z ateistycznego domu w dojrzałym wieku przyjąłem chrzest, opowiadałam właśnie w wywiadzie dla „Przekroju”, nie chcę się powtarzać. Powiem tylko, że problem metafizyki dotyczył mnie od dzieciństwa – tylko że ja tę metafizykę uważałam za chorobę psychiczną!

Wiem, modlisz się – mówisz do Boga, Bóg mówi do ciebie – masz schizofrenię!

M.U.: – Ale zawsze byłam przekonana, że musi być na świecie coś więcej niż tych pięć zmysłów, o jakich mówi materializm. I tak się stało, że odebrałam w pewnym momencie życia wiele znaków, które mnie w tym upewniły. To znaczy, poczułam, że Bóg – jakby to powiedzieć – chyba jest?! I po jakimś czasie dojrzałam do chrztu. Zostaliśmy ochrzczeni tego samego dnia, mój syn Mateusz i ja.

K.J.: – I to się stało zanim papież został Polakiem... Przepraszam, chyba nigdy nie powiem tak, jak trzeba: zanim Polak został papieżem! Ale wiesz, ja rzeczywiście nigdy nie miałam takich metafizycznych problemów, po prostu chodziłam do kościoła, bo mój Bóg był dobry i polski, wszystko porządkował, wszystko wybacał...

M.U.: – Krysia w dzieciństwie dostała Boga „na obraz i podobieństwo”, oprawionego w ramki, tak można powiedzieć. A ja nigdy w życiu nie umiałabym oprawić w ramki czegoś, co nie ma długości, szerokości i głębokości! Problem wiary będzie dla mnie zawsze jedną z najważniejszych spraw na świecie, bo

Bóg jest dla mnie podstawowym punktem odniesienia – nigdy ułatwieniem! I przy moich wszystkich załamaniach, stanach lękowych i tak dalej, jestem chyba jednak niebywale silnym człowiekiem, tak myślę, dlatego wciąż odważam się mówić: Boże, a jeżeli Boga nie ma?!

K.J.: – Ja zostałam wychowana w rodzinie katolickiej, ale żyję

Dla niej ważne jest dobro. Logika i prawda, czyli dobro

z mężczyzną, który pochodzi z domu ewangelickiego – i Bóg mojego męża jest inny! Surowy, wymagający, całkiem inny! Tak że w połowie życia musiałam na kwestię Boga spojrzeć inaczej, głębiej, niż to wynikało z tradycyjnego polskiego wychowania... Wiem jedno: nie wolno być fanatykiem! I dzięki temu Bóg Magdy i mój Bóg mogą się ze sobą przyjaźnić.

Wierzę. A propos, na początku naszej rozmowy wspomniałam o niedowiarkach, którzy w ogóle podają w wątpliwość waszą przyjaźń. Czy nie wynika to z bardzo trzeźwego (i racjonalnego!) osądu szans na pojawienie się szczerzej i bezinteresownej przyjaźni za kulisami teatru, w garderobie, na planie filmowym? Mówiąc najkrócej: liczyć na przekazanie przez artystkę najserdeczniejszych pozdrowień „innym artystkom” może tylko bardzo naiwna nastolatka!

K.J.: – Nas rzeczywiście bardzo zbliżyła „Biała bluzka”, również dlatego, że Magda jest kimś, kto potrafi – zawsze! – z morza tekstu wybrać tylko te najpiękniejsze, najcelniejsze i najlepsze zdania, niezbędne do przedstawienia jakiejś historii na scenie. Więcej, w przeciwieństwie do bardzo wielu reżyserów ona zaczyna od punktu zero, to znaczy od rzeczy najprostszych i absolutnie pierwszych, naprawdę jak dziecko! Z czego dla mnie jako aktorki wynikają bardzo ciekawe konsekwencje!

M.U.: A jak Krysia umiała to zagrać!

Słyszałam, że różne młode dziewczyny potrafiły jeździć za Krysią po Polsce, gdziekolwiek grała „Białą bluzkę”, żeby jeszcze raz i jeszcze raz obejrzeć historię o sobie. Byłaś nimi wszystkimi. To chyba olbrzymia satysfakcja dla aktorki?

K.J.: – Zgadza się. Ale widzisz, tuż po „Białej bluzce” miałam w „Ateneum” premierę „Hemara”. Straszna premierę. Najgorszą w moim życiu.

Jak to? Oglądałam kasetę wideo z tego przedstawienia: śpiewasz tam „Nikt, tylko ty” tak, że ciarki chodzą po plecach...

K.J.: – Poczekaj. Wojtek Młynarski reżyserował, koledzy śpiewali... Dobrze, w największym skrócie opowiem, jak to było. W przeddzień premiery dowiedziałam się, że z trzech piosenek zaśpiewam tylko jedną – bo zepsuję przedstawienie, bo wszystko źle, bo jestem najgorsza. Mówiłaś przedtem, że ja nigdy nie byłam „na zakręcie”?

M.U.: – Krysia zadzwoniła do mnie w nocy, płakała, chciała w ogóle ze wszystkiego się wycofać, prawda? Natychmiast przyjechałam, siadłyśmy do pianina... Ona była po prostu sparaliżowana! Nie ufała sobie, usiłowała śpiewać jak ktoś inny, cały czas bała się, że zaśpiewa nieczysto...

K.J.: – A Magda powiedziała mi wtedy taką prostą rzecz: Ależ nie możesz tak śpiewać, to nie jesteś ty, wróć do podstaw, do prawdy! Całą noc robiłyśmy te piosenki. I w końcu przestałam się bać. Zrozumiałam, że mogę zaśpiewać jako ja i że to może być ważne, wzruszające, osobiste... Po prostu prawdziwe! W dniu premiery (nikt nie wiedział, że pracowałam z Magdą) okazało się, że mam jednak zaśpiewać wszystkie trzy piosenki, ale już się nie denerwowałam. Zaśpiewałam je dla Magdy, to znaczy: od siebie – dla niej.

M.U.: – Moja siostra, która na stałe mieszka w Danii, też oglądała tę kasetę i stwierdziła, że kiedyś nie



znosiła Jandy, bo ta Janda niby taka fascynująca, ale tak strasznie działająca na nerwy... Mnóstwo ludzi, bardzo szanując aktorstwo Krysi, nie może jej znieść, ma na nią po prostu alergię, tak to już niestety w tym zawodzie jest! Moja siostra zobaczyła jednak „Nikt, tylko ty” – i co? I pokochała Krysię!

K.J.: – A Magda naprawdę ma na mnie alergię, wiesz? Taką prawdziwą. Ona w ogóle jest uczulona na wszystko...

M.U.: – Wcale nie na wszystko, ale rzeczywiście jestem alergiczką. I takiego uczulenia, jakie miałam na perfumy Krysi – bo ona uwielbia oblewać się perfumami, wciąż kupuje nowe, bardzo kosztowne, pachnie nimi na pół kilometra...

K.J.: – Edward, mój mąż, mówi mi często, że wolałby już chyba, że bym je piła!

M.U.: – ...takiego uczulenia nie miałam nigdy na nic! Przed premierą „Białej bluzki” spuchłam po prostu do niemożliwości... Krysia ma zaraz grać wielką rolę, tłumy podekscytowanych ludzi: Janda, Janda – a Janda musi się opiekować swoim reżyserem, który leży cały w bąblach! Wezwwała przez kogoś lekarza i okazało się, że jestem śmiertelnie uczulona na jej perfumy. Ale to wszystko nieważne, dla mnie liczą się intencje! Ja z tymi bąblami mogę umrzeć, bo wiem, że ona dobrze mi życzy.

Więc wyszło na moje: istna idylla! Teraz z kolei ja w to nie bardzo wierzę...

K.J.: – Ale przyszłam raz do Magdy ani trochę – dla niej i tylko

dla niej! – nie uperfumowana. Pamiętajsz?

M.U.: – Świetnie pamiętam, bo to było raz w życiu. Specjalnie się nie uperfumowała, to prawda, za to wdarała się do mnie do szpitala siłą, w dodatku z całym plikiem tych kolorowych gazet, co mój mąż zabrania mi czytać... Mówię do niej: no, tym razem chyba całkiem zwariowałaś!

K.J.: – Ale pamiętasz, jak ja tego twojego lekarza skrzyczałam?

Że źle leczy?

K.J.: – Że w ogóle jest beznaściejny! To była neurologia, tak? Więc ja krzyczałam, że Magdzie trzeba umożliwić kontakt z kimś innym, z ludźmi, a nie zamykać oddział – tak że ja nie mogę do niej wejść!

M.U.: – Wiesz, to był OIOM, czyli oddział intensywnej opieki medycznej, gdzie obowiązuje całkowity zakaz wstępu. Darła się strasznie.

K.J.: – Ten lekarz poprosił mnie w końcu tylko o to, żebym nie używała telefonu komórkowego, bo to zakłóca pracę tych wszystkich urządzeń...

M.U.: – ...do których ja byłam podłączona. A ja mówię: Krysia, ale ciebie przecież ci lekarze zniechęcają! Ona na to: e tam, już mnie raz zniechędzili, jak się wdzieralam do ojca, niech nienawidzą!

K.J.: – Chciałam im tylko wytłumaczyć, że jak Magda mnie zobaczy, od razu poczuje się lepiej.

I co, poczułaś się lepiej?

M.U.: – Przestraszyła mnie tak, że zaczęłam szybko wracać do zdrowia. Ona umarłego obudzi. Ja jej chwilami nienawidzę. Boję się jej.

K.J.: – No, bo wiesz: Magda leży w szpitalu, ja nie wiem, co jej jest, to co mam zrobić? Nie ma takiego miejsca, gdzie bym nie weszła!

Czyli idylla z elementami tragicomedii... Łączy was na szczęście poczucie humoru i zmysł autoironii, jesteście jednak tak różnymi osobowościami, że zgrzytów i spięć nie da się chyba uniknąć?

K.J.: – My tu mówimy o naszej przyjaźni, tak? Wtedy przy piosenkach Hemara, czyli właśnie na jakimś „zakręcie”, zrozumiałam, że ja – przy moich nerwach, temperamencie, hysterii, podatności na wpływy, klimat, atmosferę – bez Magdy mądrości i spokoju mogę naprawdę zginąć! Tak się zaczęła przyjaźń. Ale przez te wszystkie lata musiałam się też nauczyć Magdy – i odkryłam, że ona, taka niby spokojna i powolna, reaguje czasem równie emocjonalnie i histerycznie jak ja! Zdarza się, że mówi mi coś takiego, z czym absolutnie nie mogę się zgodzić!

M.U.: – Krysia już teraz wie, co jest moim pierwszym wrażeniem, co jest moją histerią, co jest moim lękiem...

K.J.: – Magda nie mogła na przykład ścierpieć mojego „Na szkle malowane”, bo ma uczulenie na góralską muzykę, po prostu jej nie znosi! Magda mówi, żebym nie grała Szekspira, bo tam „wszyscy się mordują”! I jeszcze coś, co już wygląda na absolutną paranoję: ja to niby Magdzie ufam w sprawach zawodowych, tymczasem to jest osoba, która nie chciała przyjść na „Medeę”, bo nie mogła oglądać sztuki, w której kobieta zabija dwoje dzieci. No, to ją całkowicie dyskwalifikuje jako doradcę!

M.U.: – Ja cierpię, że moja Krysia gra kobietę, która zabiła dwoje dzieci! Nienawidzę tego! W ogóle nie jestem w stanie zrozumieć, że ktoś chce coś takiego zagrać!

▷ Niesamowite... Tego się nie spodziewałam!

K.J.: – Ale to też jest dla mnie jakaś wskazówka. Ponieważ jeśli Magda tak reaguje, to grając Medeę muszę na nią spojrzeć również z perspektywy, bo ja wiem, kroniki sądowej w „Expressie Wieczornym”. To znaczy: muszę jeszcze bardziej uwiarygodnić psychikę kobiety, która znalazła się w aż takim stanie bólu, zazdrości, choroby...

Czyli niezależnie od wszystkiego wciąż wyrывasz do przodu!

K.J.: – Ja chcę spróbować zagrać wszystko. A Magda mi mówi: a po co?

M.U.: – Krysia ma siłę, której ja już nie mam. Kiedyś świat sztuki, piosenki, kabaretu, „Kabaretu Starszych Panów”, wydawał mi się sto razy ciekawszy niż świat prawdziwy – teraz jest na odwrót. Teraz sobie myślę: po co występować? Po co grać, śpiewać, reżyserować? Po co w ogóle cokolwiek robić? I straszliwie zazdroścę Krysi tego, że jej sprawia przyjemność wychodzenie o siódmej na scenę! Ona przyjeżdża do mnie po przedstawieniu „Marii Callas”...

Wielki, wspaniały i w pełni zasłużony sukces Krystyny Jandy! Przepraszam, musiałam to dodać.

M.U.: – Szczyty aktorstwa! W ogóle dziś w polskim teatrze, jak mówi jej mąż, jest Krysia – a za nią ciemność. Ona przyjeżdża do mnie wykończona jak górnik po ośmiu godzinach pracy w kopalni, ale nalaadowana energią – i szczęśliwa. Widzę to. A mnie jakikolwiek kontakt z ludźmi tak strasznie dużo kosztuje psychicznie! Ja najchętniej przyjaźnię się przez telefon, a w ogóle, gdyby nie moja rodzina, zamieszkałabym na resztę życia w celi Brata Alberta na Kalatówkach...

K.J.: – Ależ Magda, aktor żyje tylko wtedy, gdy ludzie na niego patrzą, słuchają go i biją mu brawo. To jest ta chwila między dziewiętnastą a dwudziestą pierwszą, więcej nic nie ma!

M.U.: – Widzisz, Krysia wciąż coś robi, planuje, chce ze mną praco-



wać, chce mnie za uszy wyciągnąć do życia, a ja nie jestem w stanie ruszyć się z kanapy, nie widzę sensu w ścieleniu łóżka i zdejmowaniu piżamy... Ona wydzwania albo przychodzi z kasetą Krzysztofa Krawczyka i upiera się, że musimy potańczyć, to świat od razu będzie piękniejszy! A ja wiem, że nie będzie. I mówię do niej: czemu mnie męczysz, idź do swojego kolorowego, intensywnego życia, zostaw mnie!

K.J.: – Magda jest mi potrzebna. Nad niektórymi rzeczami po prostu nie chcę pracować z nikim innym. Są takie tematy i takie problemy, które ona – właśnie z tymi swoimi depresjami – rozumie lepiej niż ktokolwiek! A ja gram przecież nie tylko po to, żeby mi ludzie bili brawo, również po to, żeby wychodząc z teatru mogli powiedzieć: ach, więc tak to jest... I dlatego chcę się spotykać z jej smutkami, lękami, uczuleniem na moje perfumy, ze wszystkim!

M.U.: – Nienawidzę jej, a po miesiącu mi to przechodzi. I wtedy jestem rozczulona: ona przecież chciała dobrze, chciała jak najlepiej! Na tym polega moja do niej miłość i moja przyjaźń. Powtórzę raz jeszcze, że wszystko, co Krysia chce ze mną zrobić – obojętne, czy to się jej udaje, czy nie – robi dlatego, że żyje mi jak najlepiej. I to jest wzajemne. Tyle że jesteśmy bardzo różne. Mieszkałam u niej przez pół roku, w Milanówku. W niedzielę Krysia nie ma co robić – idzie sadzić tuje. Sześćdziesiąt tui w ogrodzie! Ja bym w taką niedzielę po prostu leżała, patrzyła w niebo, myślała: mój Boże, takie słońce, takie chmury, a my musimy przeminać, przemijamy, kto nas w to wszystko wrobił... Proble-

my egzystencjalne, sens życia i tak dalej. A ona sadzi tuje.

K.J.: – Najlepszy był Magdy mąż, który mnie wtedy zobaczył i zdziwił się, co robię. Powiedziałam: sadzę tuje.

M.U.: – Przybiegł zaraz do mnie: „Spójrz, Krysia sadzi tuje, a ty co?! Idź tam, coś posadź!” Krysia jest strasznym przykładem, bo ciągle coś robi. Ale ona mówiła o Medei, to ja opowiem o jodze. Czas Hindusa i czas nowojorczyka, rozumiesz. Każda z nas jest tylko sobą!

K.J.: – Tak, to rewelacja. Magda wciąż wspominała o jodze, więc któregoś dnia przemknęło mi przez głowę, że może ja też spróbuję, to znaczy siądę w tym czymś, no, pozycji lotosu, skupię się i coś wymyślę, to będzie dobre! A ona nagle mówi, że chodzi właśnie o to, żeby nie myśleć... No nie, to już nie dla mnie!

M.U.: – Krysi się wydawało, że medytacja to jest myślenie.

K.J.: – No właśnie, takie bardziej intensywne, bardziej skupione myślenie! Że trzy razy szybciej przemyśle to, co mam do przemyślenia!

M.U.: – A ja jej mówię, że największy wysiłek polega na tym, żeby nie myśleć ani o tym, co było, ani o tym, co będzie. Żeby oczyścić umysł i tkwić w teraźniejszości, w chwili. Jak się zdenerwowała! „To tak można żyć?” Tłumaczę, że chorą osobom myśli tak się kotłują, że zabijają, nie można tego wytrzymać. A ona: „Jak to, zabijają? Najpierw myślę o tym, potem o czymś innym, potem jeszcze o tamtym, potem wychodzę do teatru, potem wracam i zasypiam. A jak nie mogę zasnąć, to czytam albo piszę scenariusz – i wstaję!” Rozśmieszyła mnie strasznie. Ale mimo że jestem zupełnie inna – rozumiesz, mimo że! – pomyślałam sobie: a może to właśnie Krysia jest mędrcom?

Dziękuję wam i żegnaj kawaleczkiem wiersza Agnieszki Osieckiej, którym kończą się „Szpetni czterdziestoletni”:

Potem wraca się do siebie...

Zawsze wraca się do siebie...

Tylko powiedz... Tylko powiedz:

Gdzie to jest? □